XXIII. Kraków, 15 kwietnia 1920 r. Nr. 8

„BOCIAN“

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przes. poczt. 17 M. 10 f. Do Ameryki rocznie 6 dolarów.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 479

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Premier“, Łódź, Piotrkowska 81.

Numer pojedynczy 3 Marki. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 3 Marki.



Przyjaciółka: Podziwiam cię doprawdy Elizo! Ta zmiana trybu życia imponuje mi!... O każdej porze sama!...
— A tak! wzięłam dla odpoczynku mały urlop z Ministeryum miłości!...

Pr. III. 24/20
2

Sąd okręgowy karny, jako prasowy, orzekł na wniosek Prokuratoryi po myśli § 493 p. k., że zamieszczona w Nrze 7 czasopisma „Bocian", z daty: Kraków, dn. 1 kwietnia 1920, na str. 4 u góry po lewej stronie, rycina, przedstawia znamiona występku z § 516 k. k. Zakazuje się rozszerzenia tejże, zatwierdza się zarządzoną przez Prokuratoryę konfiskatę pomienionego numeru, a przytrzymane egzemplarze tego czasopisma mają być zniszczone, albowiem w rycinie tej obrażono wstydliwość w sposób gruby i wywołujący publiczne zgorszenie. Równocześnie poleca się Redakcyi czasopisma „Bocian", aby tę uchwałę w najbliższym numerze czasopisma na pierwszej stronie, pod rygorem ust. pras. bezpłatnie zamieściła.

Sąd okręgowy karny Senat III

Kraków, dn. 3 kwietnia 1920. Podpis nieczytelny.

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym rozpoczynamy I-szy kwartał XXIII-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto bowiem prenumeraty nie nadeśle następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumerata wraz z przesyłką pocztową od 15-go kwietnia 1920 r. wynosi:

Rocznie	Mk. 68·40
Półrocznie	„ 34·20
Kwartalnie	„ 17·10
Pojedynczy egzemplarz	„ 3·—

Nocna gwiazda.

Jest — niby cudna gwiazda,
Co wschodzi o wieczorze,
Co błyszczy swą urodą.
Lecz tylko w nocnej porze.

Gdy słońce wschodzić zacznie,
Uroda gwiazdy blednie — —
Nie warta i feniga.
Gdy ją zobaczysz we dnie!

Zmodyfikowane przysłowia i sentencye.

Dawniej mówiono: „Jak to ciężko o ten kawałek *powszedniego* chleba"...
Dziś się powiada: „Jak to ciężko o ten kawałek *kartkowego* chleba"...

* * *

Pismo święte uczy: „Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem"... Tak było dawniej, gdy chleba nie brakowało, dziś należałoby powiedzieć: „ty na niego kartą chlebową".

* * *

Przysłowia są filozofią narodów, ale chyba nie zawsze!... Uczono nas, że „goły rozboju się nie boi", a tym czasem choć Kongresówka ogłosiła nas bankrutami, pan Grabski potrafi ciągle coś z nas wydusić... I dlatego, choć jesteśmy „goli", boimy się nawet... ministeryalnych odwiedzin...

* * *

Na zarządzenie Ministerstwa skarbu w porozumieniu z Ministerstwem kultury i sztuki i zdrowia zmieniono powinszowania dla stróżów: „Zdrowia, szczęścia, fortuny i *niebieskiej korony*"... na *„niebieskiej marki"*...

* * *

Zna się jak Bardel na rolnictwie.

Kto rano wstaje...

Gdy przed niedawnym czasem zgłosiła się do prezydenta miasta deputacya głodnych mieszkańców, prosząc o poczynienie starań, zmierzających do poprawie opłakanych stosunków aprowizacyjnych, rzekł, między innemi, troskliwy a czuły ojciec miasta:

— Proszę być dobrej myśli!... Stare nasze przysłowie mówi, że „kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje"... A my, według letniego czasu wstajemy teraz o godzinę wcześniej, niż za dawnych czasów, zatem należy się spodziewać, że się i na nas spełni to przysłowie!... Jeżeli nie zaraz to później, w każdym razie nie trzeba tracić nadziei!... Tylko cierpliwości!... Sytuacya jest krytyczna, ale nie beznadziejna.

I uczestniczki deputacyi „przy nadziei" opuściły biuro prezydyalne.

Zaliczka.

Panienkę na ulicy,
Jegomość jakiś ściga,
Zaczepia ją brutalnie.
I drwi z niej stary wyga.

Snać nie pierwszyzna jemu,
Miłosna awanturka;
To suknie jej nadepce.
To laską w plecy szturka.

Panienka się odwraca,
I rzecze zuchowato,
„A to bezczelność przecie;
Zapłacisz mi pan za to!"

Zrażony tem cokolwiek,
Rzekł natręt w złym humorze,
Gdy chcesz to na te koszta;
Zaliczkę nawet złożę!...

Charakter pisma.

Pan Stefan, opuściwszy w gronie przyjaciół „Drobnerion", znalazł się na plantacyach. Ciemna noc, śnieg białym całunem pokrył zmarzniętą ziemię.

Pan Stefan wypił trochę zadużo piwa, które nie mogło się pomieścić w jego niewielkiej peryfacyi cielesnej, odszedł zatem ku latarni i tu, marząc ciągle o swej najdroższej, która teraz zapewne w swem dziewiczem łóżeczku śni o nim i wzdycha pod kołderką... rozczulony „wypisał" na śniegu pięknemi literami jej słodkie imię „Frania"...

Po chwili nadeszła w to miejsce druga grupa młodych ludzi.

Jeden z nich, rzuciwszy okiem na ziemię, pokrytą śniegiem, na którym widniało ogromnemi literami wypisane imię Stefanowej bogdanki, rzekł:

— Oho!... Był tu Stefan!

— Po czem poznałeś? — zapytano.

Zamiast odpowiedzi, wskazał na ziemię.

— Z czegóż wnosisz, że to akurat on?... Może właśnie kto inny!

— On!... To charakter jego pisma!...

Święcone.

(Z „kłopotów starego kawalera").

— Jak to pięknie z twojej strony, że nie zapomniałeś o swym starym przyjacielu — mówił pan radca, wprowadzając pana Karola do salonu. — Przyznam ci się, że liczyłem na ciebie, jak na Zawiszę... Rozgość się, jak u siebie w domu... Zaraz przejdziemy do jadalnego pokoju, niech tylko moja stara przygotuje wszystko... Bo, trzeba ci wiedzieć, że ja zabieram się do święconego w sobotę po rezurekcyi...

Po chwili znaleźli się obaj panowie w jadalni, gdzie pani radczyni miała już czas uzupełnić braki, będące następstwem żarłoczności jej małżonka po kilkudniowym sumiennym poście...

Aż radość spojrzeć na stół, zastawiony takimi s p e c y a ł a m i, że można zapomnieć o wojnie i jej następstwach... Srodek zajmuje tradycyjny baranek, obok niego półmiski z rozmaitego rodzaju wędlinami, indyk na zimno, pulchne baby zdają się do człeka uśmiechać i mówić: „Weź mnie!..." torty, mazurki, przekładańce, jajeczniki, sporządzane według niezawodnego przepisu ś. p. Ćwierciakiewiczowej i bawią oko rozmaitością swych kształtów, a cała baterya flaszek różnego kalibru napełnia serce i duszę uczuciami jakiejś dziwnej ulgi i poświadczenia, że jeszcze tak źle nie jest jak się nieraz i mówi i pisze... Pani domu nauczona doświadczeniem wojennem, przygotowała nadto „rezerwy" na sąsiednim stole...

Pan Karol był w siódmem niebie, powtarzając sobie, że przecież nie wygasła jeszcze w naszem społeczeństwie staropolska cnota gościnności.

Zaczęto od życzeń, które złożono sobie przy jajku, potem panowie grzmotnęli sobie po kieliszku starki.

— Przedwojenna! — wybełkotał pan Karol, czując, że mu „oko zbielało".

— Tak!... — odparł pan radca. — Z naszej piwniczki!... Może powtórzymy?... To dobrze robi na apetyt, a na zdrowie trzeba uważać!... A może kminkóweczki?... Oryginalna gdańska!...

I „grzmotnęli" po drugim kieliszku w myśl przysłowia, że człowiek chodzi na dwu nogach, poczem z należytem nabożeństwem zabrali się do spożycia darów Bożych w stanie stałym. Zaczęto od szynki i kiełbasy, nie zapomniano o pasztetowej i boczku, kolej przyszła i na szynkę cielęcą.

Pan radca jadł sam z apetytem i zachęcał do jedzenia, pani radczyni i córki dokładały gościowi, a on, aby nie obrazić gościnnych gospodarzy, sprzątał wszystko, aż mu się uszy trzęsły...

— Na cześć Trójcy świętej! — mówił radca, nalewając znów inny gatunek przedwojennej wódeczki.

— Czy jednak nie zaszkodzi? — reflektował pan Karol.

— Święcone!... Jakże mogłoby zaszkodzić!...

Pan Karol doszedł do przekonania, że jednak święcone to bardzo mądry wynalazek i że wskazanym jest *training* wielkopostny...

— Teraz sprubujemy tego nadziewanego prosiaka — rzekł radca, podsuwając gościowi półmisek. Sama moja żona go wykarmiła, a tak się doń przyzwyczailiśmy się, że poprostu uważaliśmy go za członka rodziny!... Niestety, nie danem mu było cieszyć się długiem życiem, bo ja święconego bez prosiaka nie rozumiem!...

I westchnęli obaj, a pan radca odezwał się po chwili:

— No!... Teraz łykniemy po kieliszeczku węgra!... Ojcowie nasi mówili: „Ryby, grzyby, wieprzowina — potrzebują wina" i mieli racyę!... Twoje zdrowie!... A co?... Nie najgorsze?...

— Wyśmienite!...

Potem jeszcze indyk, wódeczka, gorący boczek i znowu wódeczka, nie mówiąc o winie, którego pan radca wciąż dolewał, tak coś mrucząc:

— Nie mogę znieść widoku próżnego szkła. To mam już od dziecka!...

— No, a teraz my pana bierzemy pod swą opiekę — odezwała się pani domu. — Musi pan skosztować naszych wyrobów!... Namęczyłyśmy się nad tem cały prawie tydzień!...

I choć się tłumaczył, że wszelkie słodyczy rezerwuje sobie na życie przyszłe, nic nie pomogło. Musiał skosztować każdego bałabucha po kolei, to ten wyrobu samej pani, tamten panny Jadzi, ów panny Stefci, a żadnej nie można przecież obrazić...

A pan radca dolewał ciągle wina, mówiąc:

— Popij pan, panie Karolu!... To dobrze zrobi!... Te bałabuchy zamulają żołądek, a winko stanowi w tym wypadku *antidotum*...



Dobra nauczka.

W pewnem towarzystwie znajdował się między innymi i miejscowy proboszcz, członek ogólnie ceniony i szanowany.

Zabawiano się w salonie rozmową, w jej trakcie zaś podchodzi do duchownego młody fircyk, urzędnik miejscowego starostwa, prowincyonalny „lew salonowy", przynajmniej we własnem pojęciu, i zwraca się z pytaniem:

— A czy ksiądz dobrodziej wie, jaka jest różnica między kanonikiem a osłem?...

Nietakt młodego człowieka oburzył zebranych, czekano, jaką ksiądz da mu odprawę...

Ten jednak odrzekł spokojnie:

— Nie wiem, mój panie!

— To ja powiem!... Kanonik nosi złoty krzyż na piersi, a osioł — czarny na grzbiecie!

I roześmiał się, pewny, że „zrobił furorę", bo osioł w samej rzeczy ma ciemniejszą pręgę przez łopatki, drugą zaś wzdłuż grzbietu, obie razem w formie krzyża.

— Dobrze, kochany panie! — kanonik na to — Być może, że tak jest, choć, przyznam się, nie poświęcałem nigdy osłom tyle uwagi... Ale proszę mi w zamian powiedzieć, jaka też jest różnica między młodym człowiekiem, ot, takim w guście pana komisarza, a osłem?...

Młody człowiek zamyślił się na chwilę, ale jakoś nie mógł odgadnąć.

Rzecze zatem:

— Ja nie znajduję żadnej!...

— I ma pan racyę!... I ja żadnej nie znajduję!...

Zebrani zrozumieli intencyę kanonika, zrozumiał ją i pan komisarz widocznie, gdyż stracił humor na cały wieczór...

Trójkąt małżeński.

Mąż przyłapał żonę na gorącym uczynku niewierności i opowiada o tem przyjacielowi.

Ten, wysłuchawszy, rzecze ze smutkiem:

— I kto byłby przypuścił, że ona *nas* zdradza?...

Pośpieszna miłość.

Kocha kapral swoją Baśkę,
Ino nato wciąż się skarży,
Że wybrana nie ocenia,
Jego serca ani „siarży".

Baśka niby to przychylna,
Niby się na niego boczy,
Lecz gdy ujrzy gdzie kaprala,
To aż jej się świecą oczy.

Aż raz dopadł ją wieczorem,
Na podwórzu po pod murem,
Jakżeż mocno kapralowi,
Biło serce pod mundurem.

Ręką chwycił ją pod serce,
„Oświarcaj mi się dziewucho:
Mów! czy chcesz, czy nie chcesz mnie?
Szeptał jej namiętnie w ucho.

Choć dziewczyna zawstydana,
Lecz w niej szerce się rozpala,
Mówi cicho, że doprawdy,
Kocha nie od dziś kaprala!

Kapral tupnął niecierpliwie,
— Tfu! za głupie żarty są to!
Ach do djabła, kochaj prędzej,
Zegar bije już dziesiątą!...

Różnica.

— A jaka też jest różnica między Bernardynem a serdelką?

— Bernardyn jest przewiązany sznurkiem tylko w środku, a serdelka na obu końcach!...





Godzina duchów.

(Sprawozdanie z seansu spirytystycznego.)

W sali ciemno, głębokie milczenie... Oczekują na przybycie ducha... A wezwano właśnie królową Maryę Stuart...

Ale jakoś się nie zjawia, co sobie jednak tłumaczą tem, że kobiety lubią się „punktualnie" spaźniać.

Gdy oczekiwanie zbyt się przeciągało, wezwano ducha Bismarcka.

Ten był na miejscu w kilka sekund, jak gdyby na wezwanie czekał pod drzwiami.

— Kanclerz Bismarck? — pyta wywoływacz.

— Do usług! — odpowiada duch grubym głosem — Czem mogę służyć?

— Chcieliśmy zapytać o wskazówki co do obecnej i przyszłej sytuacyi politycznej.

— Bardzo żałuję, ale to tajemnica urzędowa!

— Jaka szkoda, że nie zjawiła się Marya Stuart... I ją wywoływaliśmy... Onaby była nam powiedziała...

— Być może!... A dlaczego się nie pojawiła, to mogę powiedzieć... Widziałem ją, gdy opuszczałem niebo... Szukała właśnie swej głowy, którą jej swojego czasu na rozkaz królowej Elżbiety ucięto... Gdzieś się jej zapodziała, bo to żadna kobieta nigdy nie wie, gdzie co położy... A jakże mogłaby mówić, nie mając głowy?...

Zawsze jednaki.

Szewc (gdy żonie jego bocian przyniósł bliźniaczą parę — w zakłopotaniu): Gdybym to wiedział, który prawy, a który lewy!...

Nowe stronnictwo.

Posłowie Staszyński, Potoczek i Łaskuda utworzyli w Sejmie nową grupę S. P. Ł. (Stronnictwo Popierające Łapownictwo).

Pił zatem, bo i czegoż człowiek nie zrobi dla poratowania zdrowia!... Gotów jest do najdalej idących poświęceń! I dobrze mu tu było i mówił sobie, że przecież życie rodzinne ma swoje powaby...

— No, a teraz pójdziemy do mojego pokoju — oświadczył pan radca. — Tam nam podadzą czarną kawę, zapalimy sobie cygarka i łykniemy naturalnie coś na pocieszenie!... Bo to, Panie święty, ciało ludzkie jest mdłe i słabe i potrzebuje wzmocnienia!...

— Ja panom podam tort orzechowy, który panu Karolowi tak smakował — mówiła pani radczyni. — A nie zapomnę i do kieszeni płaszcza pańskiego włożyć kawałek aby pan miał na jutro do herbaty...

— — — — — — — — — — —

Pan Karol przetarł oczy i rozglądnął się ciekawie dookoła. Leżał na starej otomanie w swem kawalerskiem mieszkaniu. Zmierzch zapadał, w pokoju było zimno.

— Psiakrew! — mruknął. — A niech to dyabli porwą!.. Więc to był tylko sen?... Ale jaki miły!... Prawdziwie przedwojenny!... Dziś takiego radcy nie uświadczy!... Albo biedny goły, jak bizon, albo zasobny paskarz, ale taki znowu nawet nie spojrzy na podobnego jemu gołego demokratę.

I mimowoli zapaliwszy papierosa z wonnego tytoniu jawańskiego, przeszedł myślą dzieje dnia dzisiejszego...

Obudził się głodny, bo w Wielki Piątek pościł, jak się należy, w Wielką Sobotę choć to dopiero trzeciego, nie mógł się też zbytnio uraczyć, zresztą miał nadzieję, że to odbije sobie w niedzielę Wielkanocną, bo nie wygasła jeszcze cnota staropolskiej gościnności w naszem społeczeństwie.

Ale jakże się zawiódł!... Wyszedłszy rano z domu, nie mógł się nawet nigdzie napić herbaty, gdyż wszystkie lokale pozamykane, bo to równocześnie wypadły i nasze święta i żydowskie... Zły zatem, błąkał się po ulicach, czekając na południową godzinę, aby odwiedzić kilku przyjaciół i złożyć im życzenia... Przy tej sposobności coś też tu i tam łyknie, wprawdzie nie dużo, bo to wojenne czasy, ale w każdym razie coś...

Niestety, i to go zawiodło!... Znajomych albo w domu nie zastał, albo jeżeli byli, życzenia przyjęli i pięknie za nie podziękowali, ale też i na tem tylko koniec...

Głód dawał mu się coraz bardziej odczuwać, siły zaczęły go opuszczać, bojąc się zatem, aby przypadkiem nie upadł gdzieś na ulicy, skierował się w stronę domu, rozmyślając nad tem, jaką odbudziłaby senzacyę notatka pomieszczona w kronice pism miejscowych:

„Wczoraj zawezwano pogotowie ratunkowe do nieprzytomnego mężczyzny, który upadł na ulicy. Przybyły lekarz skonstantował śmierć z głodu i wycieńczenia i polecił zwłoki odstawić do Zakładu medycyny sądowej. Ofiara należy, jak wnosić można z zewnętrznego wyglądu, do sfer pracującej umysłowo inteligencyi. Znaleziono przy nim kilkaset marek i kartę chlebową z odcinkami nie zrealizowanymi od dwu miesięcy"...

Zanim udał się do mieszkania, wstąpił do stróża, aby się dowiedzieć, czy nie nadeszły dlań jakie listy...

Izba pełna gości, stół pełen smakołyków środek jego zajmuje szynka udekorowana kiełbasą, jajami... Obok babka i placek z drugiej strony butelki...

Łyknął tylko ślinkę i uciekł, by go stróż przypadkiem nie zaprosił do wzięcia udziału w biesiadzie, czuł bowiem, że nie miałby sił odmówić...

Znalazłszy się w swem mieszkaniu, głodny, spragniony, zziębnięty i zły rzucił się na otomanę... Sen dobroczynny skleił mu oczy, a poczciwy Morfeusz zesłał taki miły sen, z którego zbudziła go przykra rzeczywistość...

I myśląc o tem, co we śnie widział, splunął ze złością i rzekł:

— A jednak szkoda, że to był tylko sen... Oj!... Gorzka to dola starego kawalera w święta Wielkanocne, kiedy wszystko jest pozamykane!...





— Miłość twoja? ha! ha! ha! Dowody! dowody!

— Do wody? Już lecę!...

— Dokąd?

— Zamówić łazienkę!



— Stój zuchwały starcze!... Droga do mej sypialni prowadzi tylko przez ołtarz.

— A czy bocznego wejścia do niej niema?



— Z każdą wiosną czuję się młodszym, moja Fiufiutko . .

— A dużo tych wiosen już miałeś?

— Phi!... zaledwie 65!...



— Czo to znaczy panno Róziu? ... Pod łóżkiem panny znalazłem wczoraj zgubiony papieros egipski?

— A cóż to? pan Franciszek nie wie, że nasz pan innych nie pali!...



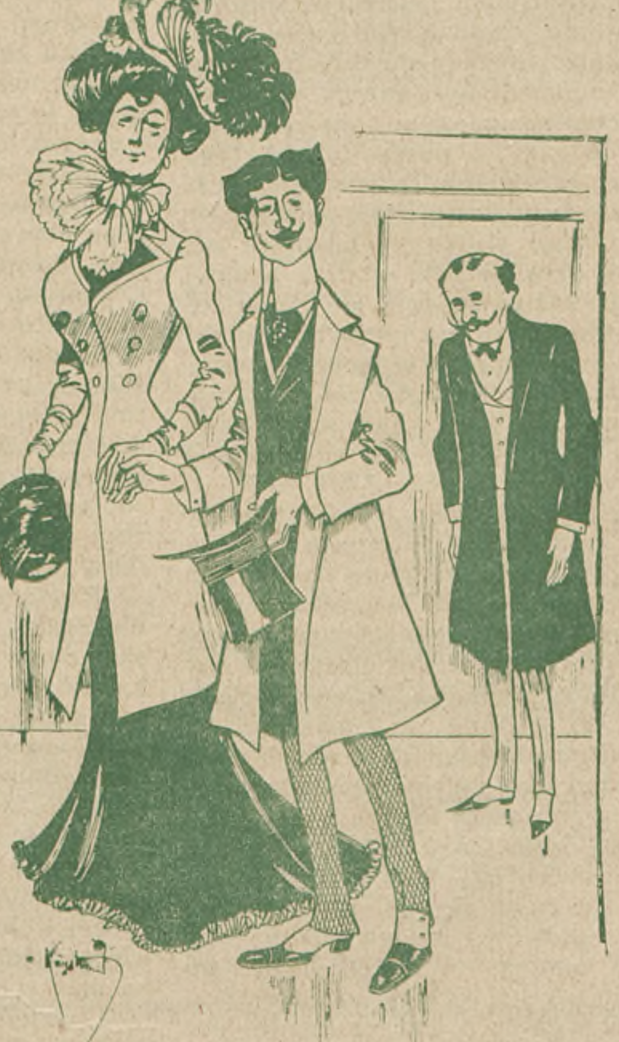
— Proszę zrobić przyjemną minę!... Maluję właśnie biodra!...



— A możebyśmy tego lata gdzie wyjechali kochana mameczko?! Zakopane, Krynica...
— Decyduję się na Zakopane, o ile ty mój stary pojedziesz do Krynicy!



— Marysiu! wiosna nadchodzi
— Niech się pan z tem zwróci do wielmożnej pani!
— Ech! moja żona straciła już dawno wrażliwość na cuda przyrody!



— Chodź moja mała!... Kupisz mi po drodze ciastek do domu!...

Ferdek Eleuteryk.



Staropolsko cnota gościnności, z której byliśmy znani nie tylko w Europie, ale i we wszystkich inszejszych częściach świata, poszła spać!... Już nie wrócą te klawe czasy, kiedy to krakoski burżuj, pan Wierzynek, karmił i poił królów, i to nie bele jakich, bo nie kurkowych, ani z „Gabeteli", ino całkiem prawdziwych, co niczym Heród ze szopki som na makówach korony (a może marki? przyp. zecera) noszący. Prowda, że teroz społeczyństwo się zdymokratyzowało i o króla ciężko nawet przy ferblu, ale tyż trza być przyznającym, że i cnotę gościnności z przeproszyniem dyabli wzieni.

Czasem odezwie się jeszcze cosi, co jednak do dawnyj gościnności jest takie podobne, jak z przeproszyniem księżyc w pełni do widermachu mojij świnty pamińci teściowyj (świć Panie nad jij duszą kolorowemi latarniami...), która miała kamieniczkę na Rynku Kleparskim i w kwiecie wieku, bo przeżywszy siedemdziesiąt ośm wiosen żywota, w panińskim stanie przeniesła się do wieczności. Te przyjencia, które teroz urzondzo się na cześć różnych gości, krajowych i zagranicznych, to z przeproszyniem guzik w porównaniu z tem, co było drzewij!... Przyknajoł do Krakowa pan minister od fajansów, Grabski, pan pryzydent zaprosił na wyżyrę, ale ino dwadzieścia osób, choć głodnych tygo dnia włóczyły sie całe gromady po mieście, bo to akurat był kuniec misionca i kużdy byłby chętnie wdepnon, aby coś przetrącić, a potym cycnąć w porządku, bo tygo u naszygo pana przyzydenta cheba nie brak. Ale mało, bo ino dwudziestu było wybranych, reszta musiała łykać ślinkę i oblizować sie. Izba handełesów dziń przódzj wydała bankiet w Grandzie z tyj samyj okazyji, ale i tam zaprosiła przeważnie takich, co im to klawo łyknąć i cycnąć nie nowina. O gołych dymokratach nikt nie pomyśloł, a szkoda bo trza było koniecznie pokozać ich parę kilka sztuk panu ministrowi, aby widzioł, jak się nom klawo wiedzie.

Ale może to i poletycznij, że się Kraków nie tak bardzo szastał na przyjincie warsiaskigo gościa, który przyknajał do nas w tym celu, aby nas zapewnić, że wszyćko bedzie klawij, ale dopiro wtedy, gdy się podwyższy podatki. Lecz tyj radosnyj chwili cinżko sie bedzie doczekać, bo z próżnygo, to nawet Salamon nie naleje, do prożnygo to i owszem!

Tak mi to wytłumaczył jeden z radców miejskich, gdym przed nim był narzykajoncy, że na przyjińcie takigo gościa to trza było grand zabawę być urzondzającym.

— Czyś sie wścik?! — on mi na to. — Jakby widzioł, że nom się galanto wiedzie, sypnon by nowe podatki i trudno byłoby nawet jojczeć, że nimomy z czygo płacić, bo mógłby rzeknąć: „A na wyżyry to mocie?"...

I nie tylko w wyższych sferach zamiro powoli cnota staropolskij gościnności. To samo dzieje sie na trzecim piętrze, co na pirszym, partyrze, lub w suterynach. Dawnij mówiono „gość w dom, Bóg w dom"... (cheba, że to był egzekutor podatkowy...), dziś sie jest kontentnym, gdy sie nikogo u siebie nie widzi.

Przekonałem sie o tem we Świnta. Starym zwyczajem wdepnon człek tu i tam, aby sie połomać jojkiem, ale w jednym domu powiedzieli, że pon kozoł zawiadomić, iż go nima, bo wyszed i nie wi, kiedy wróci, w innym zastało sie całą famieliją, ale przy pustym stole i z takiemi minami, jak na pogrzebie, a nie na świnconem.

Skróś tygo nie poknajoł człek na Hameus, ani na Rękawkę, bo i poco? Lajkoniki zwierzynieckie i podgórskie łyki zerwały z tradycyjami ojców, odkąd są Wielgokrakowianami.

Nawet Kleparz, który mioł dotąd najwincyj jeszcze poczucia obewatelskiej godności względem bliźnich i w przewodnią niedzielę był zawdy takie świncone urządzający, że proszę siadać — otar w tym roku gębę szkłem i kozoł sie obeńść smakiem!

Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie!... Jak inni mnie, tak i jo im. Zapukoł kto we świnta, robiliśmy naprzód bez dziurkę od klucza kik, gawer czy brzana. Jeśli był gawer, wystawiała makowę za drzwi Mańka i mówiła, że pon Ferdek wyjechoł i niewiadomo, kiedy wróci, a jeśli brzana, jo jenformowołem, że „bardzo mi przykro, ale jak pani poknajała wczoraj wieczór do swojigo kuzyna, tak dotąd jeszcze nie wróciła!"...

A szkoda tyj cnoty gościnności, bo to był całkiem klawy wynalazek!...

Czy Kraków jest muzykalny?

Piszą i mówią, że nie mamy poczucia piękna, że brak nam kultury muzycznej.. To jednak bajka!... Kraków był, jest i będzie najmuzykalniejszem miastem w świecie... Najwspanialsze opery i operetki spotykamy niemal co krok.

Suka policyjna nazywa się *Aida*, do niedawna mieliśmy piwiarnię i restauracyę *pod Gackiem* (Fledermaus), gdzie co wieczór schodzili się *Kontrolerzy wagonów sypialnych*. Na Kazimierzu ma księgarnię *Faust*, a kto chce słyszeć *Opowieści Hoffmanna*, niech odwiedzi jego sklep w Sukiennicach. Rynek roi się od *Pajaców* którzy zamiast *Polskiej krwi* dają popisy *Cavalleria rusticany*. W dni targowe schodzą się do miasta *Krakowiacy i górale*, a jest między nimi wiele *Księżniczek dolarów*, o ile mają krewnych w Ameryce. W niedzielę widzimy tu *Ptaszników*, wprawdzie nie z Tyrolu, lecz z Czarnej wsi i Zwierzyńca, na wiosnę roi się i od *Dziewcząt z fiołkami*.

Tam znów ciągnie poważnym krokiem *Hrabina*, opuściwszy *Straszny dwór*, niosąc w torebce *Rigoletta* (plaster „Rigollot"), zakupiony z porady *Cyrulika Sewilskiego*.

Piękna Helena lub *Marta*, bez względu na to, czy *Żydówka* czy chrześcijanka, nosi *Halkę*, a każda z nich wspomina z westchnieniem *Czar walca* i śmiało mogłaby być uważaną za *Księżniczkę czardasza*, gdyby nie to, że jego miejsce zajął fox-trotte i two steep.

Baron cygański posyła *Posłańca N.* ... do *Wesołej wdówki*. *Biedny Jonatan* lub *Palestrant* robi „oko" do *Królowej przedmieścia*, która właśnie opuściła *Domek trzech sióstr* i radby z nią rozpocząć bodaj *Romans na dachu*.

Niestety, tego rodzaju *Manewry jesienne* mają zbyt często jako niepożądany dla każdej *Cnotliwej Zuzanny* epilog... *Dziecko szczęścia*.

Kuglarzy mamy dość, *Druciarzy* nam także nie brak. Zamiast *Złota Renu* mamy rzeszowskie złoto. *Śpiewaków norymberskich* zastępują handle norymberskie. *Noc w Wenecyi* może łatwo spędzić każdy, kto mieszka w tej dzielnicy, a niejeden poważny obywatel, urządzający sobie poobiednią *Traviatę* na kanapce po smacznym obiadku, wścieka się, gdy mu marzenia przerwał kataryniarz, grający u nas rolę *Trubadura*.

Hrabia Luxemburg to dziś prawdziwy *Wróg kobiet*, opłakujący swą *Sprzedaną narzeczoną*, której było na imię *Carmen*. Znalazła sobie jakiegoś *Admirała* floty napowietrznej, bo tacy są dziś w modzie.

Codzień słyszymy nasze krakowskie *Dzwony z Corneville*, nasz *Mikado* ma dość kłopotów, gdy w magistracie jedna i druga *Madame Butterfly* upomina się o tłuszcze i mąkę, bo niema co swemu *Don Cezarowi* ugotować na obiad, a ten, gdy głodny, kręci się niczem *Orfeusz w piekle*.

Widocznie „Bóg tak chce, tak być ma, a więc sza!...", jak śpiewał *Boccacio*...



Zagalopował się.

Pan profesor roztargniony,
(Czyli „bałwan" ordynarniej),
Wszedł raz z jednym swym kolegą;
Na partyjkę do kawiarni...

— Patrz kolego! — rzekł profesor;
Rwąc mu guzik przy palecie —
— Co tu panien w koło siedzi;
To doprawdy skandal przecie!

Zamiast kawę pić i palić,
Zamiast tu dzień spędzać cały,
Czy nie lepiej by zrobiły,
By o dzieci się starały.

— Profesorze! — rzekł kolega —
Wszak z nich żadna nie ma dzieci,
— Więc tem bardziej skoro niema!
Odparł mu rwąc guzik trzeci!

Z dawnych lepszych czasów.

(Facencye z życia ś. p. Żółkowskiego).

Słynny komik warszawski ś. p. Żółkowski, i w życiu prywatnem odznaczał się nadzwyczajnym humorem i dowcipem.

Raz po przedstawieniu, znalazł się Żółkowski w bufecie teatralnym i słyszy, jak jakiś prowincyonalny szlagon trochę jąkała, pyta się restauratora:

— A zna pa.. pa... pa... pa... pana Żółkowskiego?

— Znam! — odpowiedział zagadnięty restaurator.

— A cho... cho... cho... cho... chodzi on tutaj?...

— Chodzi!...

Na to zbliża się Żółkowski do pytającego i kłaniając się uprzejmie, mówi:

To ja, proszę pa... pa... pa... pana je... je... jestem Żół... Żół... Żół... Żółkowski...

Szlachcic popatrzył nań zdziwiony, boć dopiero słyszał go na scenie, a ten się nie jąkał... Zatem chyba kpi sobie z niego...

Zirytowany, rzecze więc, jąkając się jeszcze bardziej:

— Pa... pa... pa... panie!... Wypra... wypra... pra... pra... praszam sobie po... po... po... po... podobne żar... żar... żar... żarty!...

— Ja... ja... ja... jakie?... — pyta Żółkowski, udając zdziwienie.

— Pa... pa... pa... pan mi się po... po... po... podrzeźnia!... Sły... sły... sły... słyszałem pa... pa... pa... pana sce... sce... sce... scenie, tam się pan nie ją... ją... ją... jąkał!...

— Ja tam pro... pro... pro... proszę pana tylko u... u... u... udawałem, że się nie ją... ją... jąkam!... — Żółkowski na to.

* * *

Na występy Żółkowskiego uczęszczał bardzo pilnie wielki książe Konstanty, wielki jego zwolennik.

Żółkowski niewiele sobie robił z niego i dość często czynił złośliwe uwagi ze sceny pod adresem wielkiego księcia.

Teatr pękał ze śmiechu, a wielki książę wstał z loży i rzekł:

— Żółkowski!... Tylko bez dodatków!...

Zdarzyło się raz, że w sztuce, w której występował Żółkowski, wprowadzono konia na scenę. Konik nie zdając sobie sprawy z tego, gdzie się znajduje, a czując pewną naturalną potrzebę, podnosi najspokojniej ogon i da lejże...

A Żółkowski podbiega szybko ku czworonożnemu artyście i podstawiając kapelusz tam gdzie potrzeba, a uśmiechając się w stronę loży wielkiego księcia, woła:

— Tylko bez dodatków!... Wielki książę Konstanty tego nie lubi!...

Z listów Hermogenesa Klapy.

Nowy Jork.

My dear Bocian!

Jak rzekłem, tak i zrobiłem, to jest odnalazłem Hoovera w Nowym Jorku i tutaj po odpowiedniej przemowie, wręczyłem mu dyplom honorowego doktora medycyny. Wytłumaczyłem przy tej sposobności, że nie mogłem przybyć przybrany w łańcuch rektorski lub dziekański, gdyż złodzieje je tymczasem ukradli, a policya dopiero zaczęła poszukiwania, bo jest czem innem zajęta.

Dyplom bardzo mu się podobał, futerał zaś jeszcze bardziej. Oświadczył, że, gdyby był dłuższy, możnaby łatwo chować w nim parasol... Pomyślałem sobie, że jednak te Amerykany to praktyczny naród i należałoby sobie życzyć, byśmy szli w ich ślady.

— Zdaje mi się, że to ośla skóra — rzekł, wskazując na dyplom.

— Taki już u nas zwyczaj — odpowiedziałem. — Uczonym wystawia się dyplomy na oślej skórze, futerały na nie, w oprawie cielęcej...

— Bardzo panu dziękuję, panie Klapa, że się pan fatygował tak daleko. Nie moja wina, że mnie pan nie znalazł w Waszyngtonie, bo musiałem wyjechać, otrzymawszy telegram od mojej narzeczonej, że się jej trafia lepsza partya, prosi więc o radę, co ma począć...

— To się doskonale układa!... Teraz, gdy pan jest już doktorem medycyny, może pan radzić!

— Naturalnie!... Jeszcze bardziej się przecież cieszę z tego, że będę mógł pisać recepty, a wiadomo panu, że u nas alkohol sprzedają tylko w aptece chorym. Musi mnie pan nauczyć, jak się to robi..,

— Niby co?

— Pisać recepty...

— Bierze się kawałek papieru i ołówek lub pióro i pisze się...

— Ale co?

— To, co się chce...

— Pewnie, że to, ale jak?

— Tego nie wiem, ale z pewnością nauczy pana pierwszy lepszy lekarz... Chodzi tylko o to, aby pan nie trafił na takiego, który swych pacyentów leczy tylko świeżem powietrzem i kwaśnem mlekiem...

— Właśnie!.. Właśnie!... I cóż tam u was słychać w Europie?

— Nic nowego... Podobno nasi żydzi wybierają się całą masą do Ameryki...

— Tak!... Czytałem o tem w *Kuryerze* i zaraz sobie powiedziałem, że to sprawka Morgenthaua. On im opowiedział, że tu ziemia obiecana.. Zasmakowały mu nie tyle tutejsze owoce, ile dolary... Ale to nic!... Przyjadą oni tutaj, my pojedziemy na ich miejsce do Europy, bo przyznam się panu, bardzo mi się u was podobało. Człowiek sobie wstąpi na wódeczkę tu, na piwko tam, na lampkę węgra gdziendziej, a u nas?... Pij wodę, jeśli masz pragnienie!... Ale teraz, gdy już jestem doktorem na piszę im rozprawę, że z wody lęgną się w brzuchu żaby... Senatorowie przeczytawszy, odwołają może zakaz ze strachu... A jak tam u was teraz z aprowizacyą w tym kierunku?

— Niby w jakim?

— Pod względem trunkowości!

— Marnie!.. Miejska fabryka wódek jeszcze nie założona, wino, dzięki cłom nowym tak drogie, że chyba paskarz może sobie na lampkę pozwolić...

— A cóż wino ma wspólnego z cłem?... Przecież to wyrób krajowy!...

— Tak!... Ale i cło też wyrób krajowy!...

— A piwo?

— Pod psem i drogie!... Używamy go zamiast lekarstwa. Zastępuje ono gorzką wodę, której u nas brak... To się jednak poprawi i nastaną jeszcze lepsze czasy, kiedy piwo będzie można pić nie jako lekarstwo, lecz dla przyjemności...

— I ja myślę, że nastaną, ale musicie pracować i oszczędzać, byście nam mieli czem zapłacić za nasze przyjacielskie usługi, bo... miłość miłością, a interes interesem!... Z miłości jeszcze nikt nie utył!

— Owszem!... Sam znam jedną pannę, której się to przytrafiło! — przerwałem.

W tej chwili usłyszałem na schodach przyspieszone kroki, otwarły się drzwi, do pokoju wpadł jak bomba... Wilson.

— Jest tu Klapa? — zapytał.

— Jaka?... Bezpieczeństwa? — podchwycił Hoover, widocznie nie rozumiejąc o co chodzi.

— Ależ nie!... Klapa z Krakowa!

— Jest! Jest!...

— No!... To kamień spadł mi z serca! — zawołał i z widoczną ulgą rzucił się na fotel.

Ja udawałem obrażonego, odwrócony ku oknu. Ujrzał mnie jednak, poskoczył ku mnie i wziął mnie w objęcia.

— Jakże się cieszę! — wołał.

— Ciekawy jestem z czego? — odpowiedziałem. — Czy z tego, że wystrychnąłeś mnie na dudka, zapraszając do Waszyngtonu, a sam wyjeżdżając tymczasem?...

— Przebacz!... Nie moja wina!... Wiem o wszystkiem... Lansing mi mówił... To intryga Lloyda George'a, któremu nasza przyjaźń jest solą w oku... Ja mu się jednak odpłacę... popamięta mnie ruski miesiąc. Już mu Irlandczyków pobuntowałem, dalszy ciąg nastąpi...

Odsapnął, a potem mówił dalej:

— Przyjeżdżam do domu, Lansing opowiada mi co zaszło, że był Klapa, że się wściekał i pojechał, grożąc wojną...

— Ja się wściekałem?...

— Tak powiedział!... Żebym taki zdrów był!.. Otóż ja usłyszawszy, co zaszło, każę zaprzęgać i jazda!...

— Końmi?

— Gdzieżby!... Kto w Ameryce jeździ końmi?!.. Aeroplanem!... To też chciałem powiedzieć, że kazałem pompować benzynę, ale mi się w prędkości wyrwało „zaprzęgać"...

— Tak czasem się człowiekowi niepotrzebnie wyrwie!... Zwłaszcza w późniejszym wieku!

— Bogu dzięki, że cię złapałem!... Musisz jechać ze mną do Waszyngtonu. Stara powiedziała mi, bym się nie pokazywał bez ciebie... Świniobójstwa wprawdzie nie urządzaliśmy, aby się Senat na to krzywo nie patrzył, ale z głodu jakoś nie zginiemy!... A mam z tobą pomówić o bardzo ważnych sprawach, bo wiesz chyba, że traktat wersalski Senat odrzucił...

— I miał racyę!... Radek-Sobelson nazwał go „świstkiem papieru"...

— Słyszałem!... Jak się zdaje, odrzucą też i traktat z Austryą, zatem wróćmy się do stanu, jaki był przed wojną i właśnie chciałbym zasięgnąć twej porady, jak wybrnąć z tego błota...

— Pogadamy!... Jak się da, to się zrobi!... jak mówi jeden mój znajomy urzędnik magistratu krakowskiego... A Hoovera zaprosimy też na konsylium, bo on jest doktorem...

— Zatem jazda, bo aeroplan czeka na dachu, gotów do odjazdu... Hoover nas dogoni. bo on musi się jeszcze pożegnać z narzeczoną!...

I pojechaliśmy, ale nie na długo, gdyż jestem już z powrotem w Nowym Jorku, by się nie spóźnić na konferencyę pokojową z bolszewikami.

Po drodze odwiedzę Was — tymczasem dajcie buzi!..

Klapa.

P. S. To jednak nieprawda, aby Hoover był na bakier z Wilsonem!...

⊙ ⊙

Marzenia dziewczyny.

(ze zwierzeń kokoty.)

Mego życia cel jedyny,
I pragnienie najgorętsze,
Mieć mieszkanie odpowiednie,
Na parterze lub na piętrze.

Chciałabym ja mieć sypialnię,
Odpowiednie w niej obicia,
Nocną lampę z abażurem,
To marzenie mego życia!

Mieć bieliznę z koronkami,
Z dekoltażem modny stanik,
Duże łóżko, a przed łóżkiem,
Ustawiony parawanik...

Do kompletu pragnę jeszcze,
Niech los szczery kiedyś da mi,
Dużo, dużo znajomości,
Naturalnie z mężczyznami! ..

Od wydawnictwa.

Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.

Przesyłki w listach pieniężnych przyjmujemy tylko w markach!

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Stefana Karczmarskiego.



— O! stój nieszczęsny! Ani kroku dalej! Tam w tym pokoju moja lekkomyślna córka zapomina się właśnie z twoim wyrodnym synem!